

List z Lublina

Zjazd Kierowników Domów Dziecka uczynił dla miasta na parę dni aktualną sprawę dzieciństwa. Widzieliśmy wystawę prac dzieci i pokaz artystyczny; jak zawsze mówiący więcej o wychowawcach niż o wychowankach. Przyglądaliśmy się tej sumie bezradności i dzieciństwa, przechodząc przez sale gęsto zastawione łózkami, wstępując do świetlic, w których młodzi witają nas z otwartym entuzjazmem, sprawdzając realność gościa, obejmując i dotykając każdy szczegół ubrania, wspinają się na kolana i próbują czułych rodzinnych określeń, starsi z większą rezerwą i zażenowaniem, z rozleglejszą wiedzą obcości obcych.

Zresztą objęta opieką zamkniętą jest część bodajże nie najsmutniejsza. Znamy i głębsze zakamarki dzieciństwa - swobodne w kątach podwórek, obok klozetów, zamykane w domach, gdy matka wychodzi do pracy, wpadające pod nogi przechodniom na krzywiczych nóżkach, zorganizowane w grupy dziewczęce, które odwiedzają domy żałoby i męskie-wrzucając przez szyby kamienie do mieszkań.

Jakież jest socjologiczne uwarunkowanie tego dzieciństwa?

W Domach Dziecka przeważają dzieci ze środowiska chłopskiego. Przyczyniła się do tego zarówno struktura gospodarcza rolniczej Lubelszczyzny, jak i niemieckie wojenne pacyfikacje, które przysporzyły opiece społecznej wiele sierot i pół-sierot. Przywożono do Lublina wagonami z południa osamotnione dzieci, przeważnie małe, urodzone już w czasie wojny, słabo rozwinięte i niedożywione. Niewielką przysługę spełniali przeważnie ci, którzy decydowali się brać je „na wychowanie”. Dzieci, nad którymi litowano się łatwo nie zawsze umiały zarobić na miłość - powracały do zakładu opiekuńczego, gdzie nie patrzy się na „mądrość” i wdzięk osobisty.

Charakterystyczna dla Lublina jest warstwa nieokreślonego chłopsko-robotniczego proletariatu. Wytwarza ją zarówno sezonowość całego bodaj lubelskiego przemysłu związanego z rolnictwem: cukrownia, krochmalnia, monopol tytoniowy, gorzelnia, drożdżownia itd., jak i napływ ludności wiejskiej, ciągle w pewnej mierze zbędnej na wsi, a w mieście biorącej się do drobnego handlu i takich wolnych zawodów jak np. stróżowanie w domach. Najbardziej charakterystycznymi punktami miasta, gdzie bije jego życie są targi zapełniające się codziennie ludnością wiejską, ściągającą do miast pociągami, furmankami i piechotą. Jedni zbywają tu produkty pracy, inni

- liczniejsi-powodują ekonomicznie bezsensowny, lecz utrzymujący przy życiu całe rodziny, ruch starzyzny, handel zamienny, w którego interesie leży jak najpóźniejsze i najbardziej zawile docieranie do celu.

Ta warstwa ludności o niestałym dochodzie i żadnej przynależności do instytucji pracy i organizacji ma przewagę na przedmieściach Lublina. Jest to miasto kościelne i handlowe, nie robotnicze. Kościoły lubelskie stanowią podobnie jak targi - ambasady chłopskości w mieście. Nie dziwi mnie to, że TUR notuje w Lublinie słabą frekwencję na swoich imprezach. A inteligencja katolicka ma przyjemne poczucie całkowitego rozbrojenia problemu społecznego wobec odczytu, jaki wygłasza ks. biskup Wyszyński na temat: „Państwo a robotnicy według nauki Leona XIII”.

Robotnicy sezonowi fabryk lubelskich po ukończeniu „kampanii” wracają na targi i do drobnego chałupnictwa. Zwiększa się wtedy na ulicy liczba wózków z cukierkami i galanterią zwiększa liczbą rąk przykładających się do każdego zbywanego przedmiotu.

W czytelnicy „Społem” i TUR widzi się małe nawet, dzieci pochylone z uwagą nad książkami i pismami. Z tą samą uwagą inne dzieci na Starym Mieście badają zawartość rynsztoków i podwórzowych śmietników. W tym mieście mającym najgorszą sławę miasta gruźliczego, otoczonego bagniskami i powolnymi ściekami rzecznyymi, większość domów opiekuńczych mieści się w starych poklasztornych kamienicach, uratowanych - oczywiście cudem - od pocisków wojennych.

Ileż prawdy mogliby o tym dzieciństwie lubelskim powiedzieć opiekunowie społeczni, sędziowie w sądach dla nieletnich i lekarze. Obserwacje ich i wyniki pracy nie docierają, niestety, do opinii społecznej, nie niepokoją publicystów w pismach społecznych. Społecznikowska powieść XX-lecia dotykała tych problemów traktując je jednak albo zbyt psychologicznie albo naturalistycznie. A przecież Dickens krytykę ustroju przeprowadzał na dziejach dzieciństwa. Nowelistyka naszych pozytywistów w losach dziecka pokazywała tragiczne nieprawidłowości systemu.

Zależność dzieciństwa od splotu warunków geograficzno-ekonomicznych wydawać się będzie zawsze krzywdą, jeśli będziemy je uważać za kategorię psychologiczną lub - co gorsza - metafizyczną, jak „Człowiek” - pisane dużą literą. Te dzieci mają więcej świadomości społeczno-politycznej, niż sądzimy. Postulat wychowania politycznego, poczynając od wieku najmłodszego, - postawiony na zjeździe - wywołał pewną konsternację wśród tych wychowawców, którzy przecież uczą dzieci ancycowego patriotyzmu w wierszyku: „Kto ty jesteś? Polak mały”...itd. Uważają oczywiście, że wychowanie ich nie jest polityczne! Przypominam sobie jednak, jak w czasie okupacji w jednym z lubelskich punktów dożywiania dzieci dawano jakiś czas zupeł z robakami. Po

prostu w zapasach kaszy załęgły się robaki podobne do małych pędraków. Trudno je było łyżką zgarnąć. - Żeby taką tylko zupę dać tym, co są na Majdanku, albo w innych obozach albo więzieniu rosyjskim, to by się jeszcze oblizali - mówili chłopcy i jedli zupę. Jadła także wychowawczynie, na którą w domu nie czekał drugi obiad.

Lublin, jak każde miasto młodości, ma jakieś „metafizyczne” powietrze. Groza i lęki nocy w dzieciństwie, spowodowane podobno tym, że się rośnie, a potem długie światopoglądowe i bogoburcze rozmowy i spacer po cmentarzach. Utopił się w Wiśle poeta Michalski i w kieszeni jego znaleziono list o śmierci i tej żółtej glinie, na której leży cmentarz lubelski. Czechowicz uczył: „...że pod kwiatami nie ma dna”. Pisaliśmy wiersze, których opisowy liryzm był podobno ściśle lubelskiego chowu i którego „piękność” zganił od razu po przyjeździe do Lublina Mieczysław Jastrun.

Wzrusza mnie jednak zawsze Pleśniarowicza „Płacz małej w ciemności śnieżnej” i nadzy chłopcy na łąkach Julii.

Letni wieczór w Lublinie wyprowadza na ulice tłumy młodzieży. Kiedy główne ulice pustoszeją -przedmieście robi najazd na miasto. Tylko pustą jezdnią od czasu do czasu przesunie się człapiąc koń dorożkarski. Wówczas i kobiety z twarzami ogorzałymi od kuchennej blachy wychodzą przed bramy i na ulicy usypiają swe niemowlęta. Jeszcze nie zaczęto zamiatać. Łagodne, zamglone od kurzu, wieczornie zaśmieczone, miasto dla dzieci.

Szliśmy na cmentarz z grupką dzieci, z biednych, proletariackich rodzin. Wojenne bombardowania, walki i sławny więzienny mord na zamku poszerzyły cmentarz o całe zagony równych nowych mogił.

- Ja tylko myślę - mówi mały chłopak - ile tam butów jest pod ziemią.

Tak, skóra jest ciągle produktem najrzadszym. Praca w garbarni najlepsza. Cena butów na wolnym rynku - najwyższa, przekracza o wiele przeciętne miesięczne zarobki rodzinne. Handlować skórą nie wolno.

Tak to sprawa śmierci, związana z miastem młodości, uzyskuje całkiem realną i jakby marksistowską interpretację w ustach dziecka.